

Pochwała przyjemności?

Każdy z nas ma z pewnością swoje małe przyjemności (przynajmniej w pewnym wieku). Mogą to być drobne rzeczy, jak np.: picie kawy o określonej porze, ulubione miejsce na spacer, wygodny fotel w domu. Takie „małe, co nieco” (to cytat z Kubusia Puchatka) dla naszego ducha albo ciała. Trudno sobie wyobrazić życie bez tych drobiazgów pojawiających się w monotonii naszej codzienności, choć często są one drobne, małe. Od czasu do czasu jednak przyzwalamy sobie na „odrobinę szaleństwa”. Z pewnością przyjemności nie są same w sobie złe i grzeszne (choć bywają i takie), i dlatego nie wolno ich wszystkich odrzucić przyjmując, że wszystko, co przyjemne, to albo się od tego tyje, szkodzi na zdrowiu, albo Kościół tego zabrania.

Ale czy słuszną postawą byłoby prowadzenie takiego życia, w którym byłoby jak najwięcej przyjemności? Szukanie ich za wszelką cenę? Czy liczy się tylko przyjemność, nic innego? Zrozumiałe jest, że chcemy żyć przyjemnie, podobnie jak chcemy być szczęśliwi, ale czy z tego dążenia do przyjemności mamy uczynić podstawową zasadę życia?

W tym filozofowaniu na temat przyjemności naszym przewodnikiem będzie Epikur (341-270 p. n. Ch.), bo właśnie on jest uważany za twórcę szkoły, która z przyjemności uczyniła zasadniczy cel każdego człowieka. Używaj życia, żyj przyjemnie, szukaj wszędzie przyjemności, a resztą się nie przejmuj. Dla ilustracji cytat z listu Epikura do Menoikeusa: „przyjemność jest początkiem i celem życia szczęśliwego. Ona to bowiem (...) stanowi pierwsze i przyrodzone dobro oraz punkt wyjścia wszelkiego wyboru i unikania”. Przyjemność jest wartością, dobrem człowieka i celem w każdym działaniu. Nie ma więc żadnej wątpliwości, że Epikur jest zwolennikiem hedonizmu, czyli życia szukającego wszelkimi sposobami i za wszelką cenę przyjemności (i to najczęściej cielesnych). Wszystko inne trzeba odrzucić. Ale wbrew pozorom w poglądach tego starożytnego filozofa można znaleźć wiele trafnych uwag na temat przyjemności. To wcale nie była zachęta do życia swobodnego, rozwiązłego, czy hulaszczego.

Prześledźmy trochę jego myśl. Pierwsze zaskoczenie: przyjemność nigdy nie może być czymś złym. Do końca się z tym nie możemy zgodzić, ale Epikur wyjaśnia swoje stanowisko. Oddajmy jemu głos: „żadna rozkosz (przyjemność) nie jest sama w sobie czymś złym; atoli pewne rzeczy zdolne do jej wywoływania przynoszą częstokroć więcej kłopotu niż przyjemności”. Jako argument przeciwny możemy wskazać na rozpustników. Żyją od jednej do drugiej przyjemności i to ma być czymś dobrym? Nasz starożytny filozof wcale nie uważa, że żyją oni tylko przyjemnością: „gdyby to wszystko, co sprawia przyjemność rozpustnikom, mogło uwolnić ducha od trwogi wywoływanej przez śmierć i ból (...) wiedliby życie wypełnione wszechstronnie przyjemnościami bez domieszki bólu czy zmartwienia, a przecież te uczucia – to zło”. Rozpusta nie jest samą tylko przyjemnością, bo przynosi niepokój, więc nią po prostu nie jest.

Przyjemność, którą Epikur ma na myśli zawiera w sobie dwa ważne elementy, z jednej strony jest to brak cierpienia fizycznego, a z drugiej brak niepokojów duszy. To właśnie one gwarantują szczęście. Nieobecność bólu fizycznego jest dla nas zrozumiała, warto jednak zatrzymać się przy tych „niepokojach duszy”. Co wprowadza takie niepokoje, a przede wszystkim jak się ich pozbyć? Oto cel refleksji Epikura na temat przyjemności. Ważne jest odróżnienie trzech rodzajów przyjemności. Po pierwsze: istnieją przyjemności *naturalne* i *konieczne*, jak zaspokojenie głodu, wypoczynek; następnie: *naturalne* i *niekonieczne*, jak np. dbanie o piękny ubiór wygląd; i na końcu mamy przyjemności: *nienaturalne* i *niekonieczne*, czyli takie jak pragnienie bogactwa, zaszczytów itp. Najbardziej niebezpieczne są przyjemności trzeciej grupy, bo nie tylko nie usuwają bólu ciała, ale wprowadzają wiele niepokojów w duszę człowieka.

Epikur wielokrotnie wspomina o trzech podstawowych zagrożeniach dla pokoju ducha: 1) upływ czasu, który zabiera przyjemności sprawiając, że się kończą; 2) zagrożenie cierpieniem, które może nadjeść; 3) zasadzka śmierci. Trzeba nauczyć się bronić przed tymi trzema zasadzkami. Jak? Z upływem czasu tak Epikur radzi się uporać: przyjemność, która trwa zawsze jest nieskończona, absolutna, nie może więc już w tym momencie wzrastać, dlatego nie patrzmy co będzie potem, bo teraz jest nam dobrze. Przyjemność - jeśli jej doświadczam - jest całkowitym zaspokojeniem, nie można więc już pragnąć niczego więcej i o niczym więcej myśleć w tym momencie. Być może Epikur ma i rację, ale pod warunkiem, że myślę tylko i wyłącznie o terażniejszości. Gdy jednak wybiegnę myślą w przyszłość, to wszystko nie będzie już takie oczywiste. Kolejna rada na niepokoje duszy (zagrożenie cierpieniem) polega na uświadomieniu sobie względnego charakteru każdego cierpienia. Lękamy się bólu? Epikurejska recepta głosi: „Każdy ból jest łatwy do zniesienia: co jest gwałtowne, trwa krótko, co natomiast trwa w ciele długo, przynosi ból umiarkowany”. Może to się da jakoś zastosować do bólu fizycznego, ale co z bólami związanymi z naszym duchem? Te nasze „złe dni”, chandry, zranienia, cierpienia na duszy - co z nimi? Są niejednokrotnie długie i bardzo bolesne. A Epikur radzi: nie ma co się nad nimi rozwodzić, bo najczęściej są wytworzone przez nasze fałszywe mniemania. Po prostu są urojone. Nie mają rzeczywistej przyczyny. Tu chyba nasze drogi z Epikurem się rozchodzą, bo jego rozumowania i rady nie da się zaakceptować. Przecież dobrze wiemy, że nasz ból duchowy nie jest urojeniem, ma taką samą fizyczną przyczynę, jak chociażby skaleczenie się w rękę. Epikur twierdzi, że mamy tu do czynienia z uczuciami, odczuciami, przeżyciami, które można łatwo opanować naszym rozumem. Stłamsić całą sferę naszych odczuć rozumem? Jeśli Epikurovi to się rzeczywiście udało, to raczej zasługuje on z tego powodu na współczucie niż na podziw.

A co mówi Epikur na temat śmierci? Daje ponownie bardzo proste wyjaśnienie: jak ja jestem, nie ma śmierci, gdy jest śmierć, to mnie nie ma, po co się więc jej lękać? Niestety, ponownie zapomniał nasz mędrzec, że poza życiem i samą śmiercią, istnieje też świadomość tego, że umrzemy, śmierć bliskich osób, które kochaliśmy i tego wszystkiego nie da się zamknąć tak prostym zdaniem, że śmierć nas nie obchodzi. (Jednak o śmierci w filozofii będzie inny felieton).

Epikur za wszelką cenę usiłował zlikwidować z życia cierpienie, wszelkiego rodzaju i to duchowe i to cielesne. Wiemy dobrze, że to nie jest możliwe. Raju na ziemi nigdy nie będzie. Zaskoczyła mnie wypowiedź jednego z bohaterów głośnego filmu „Matrix”. W tym filmie światem zaczynają rządzić komputery, które ludziom pozwalają żyć tylko w świecie zamkniętym w ich umysłach. W świecie może pięknym, ale nierzeczywistym. Początkowo ten sztuczny świat stworzony dla człowieka miał być pozbawiony cierpienia, ale szybko okazało się, że umysły ludzkie tego nie potrafią znieść i obumierają. Czyżby potrzebowały cierpienia do normalnego funkcjonowania? Tyle film, a jak to jest w tym naszym rzeczywistym świecie? Być może byśmy nie wiedzieli, co to jest szczęście, gdybyśmy nie potrafili go odróżnić od nieszczęścia? Czy byśmy tak mocno walczyli o szczęście, gdyby nie było ciągle zagrożone przez cierpienie? O cierpieniu jednak nie należy filozofować, bo każde słowo, nawet najpiękniejsze i najwznioślejsze może stać się sloganem. Zwłaszcza, gdy stajemy wobec tego „paralizującego” pytania: dlaczego? Dlaczego właśnie ja? Na to pytanie, tutaj na ziemi, po prostu nie ma odpowiedzi, jest ono zakryte przed nami do czasu, aż staniemy - jeśli w to wierzymy - przed Bogiem twarzą w twarz. Jest inne, równie ważne pytanie, na które jest odpowiedź i to bardzo konkretna. Nie „dlaczego?”, lecz „co z tym cierpieniem mogę zrobić?”. Jak z nim walczyć? Z kim mogę się złączyć przez to cierpienie? To całkiem odmienna perspektywa, trudna czy wręcz heroiczna. Nie łudźmy się, nie znajdziemy łatwej odpowiedzi na pytanie „dlaczego to mi się przytrafiło?”, ale możemy odnaleźć odpowiedź na inne pytanie – „za kogo je mogę ofiarować, z kim mnie to cierpienie

łączy?” Cierpienie, choć czyni nas samotnymi i oddziela nas od siebie, może zacząć nas łączyć z innymi ludźmi. Łączy nas tak, jak łączy nas miłość. Cierpienie niejednokrotnie pokazuje (a niełatwa to lekcja) to, co najbardziej cenimy, co dla nas jest ważne, co w rzeczywistości kochamy. Z tego też powodu najgłębsze cierpienie płynie z miłości, tylko człowiek, który kocha, wie, co to znaczy cierpieć. Z każdą miłością jest związane cierpienie: czy to utraty, czy niemożliwości do końca wyrażenia swojej miłości, czy też niedostatecznego doświadczania tej miłości ze strony ukochanego. To jest cierpienie o wiele większe (dokładniej: głębsze) niż ból fizyczny i nie zawsze da się go ukoić. Nie przemija, ale jest znakiem - choć jakże bolesnym - że kocham. Nie chcę tu czynić żadnej „pochwały” cierpienia, bo cierpienie zawsze pozostanie złem, choć mocno związanym z życiem. Jednak nie pozbedziemy się go. Stąd na pewno nie ma racji starożytny Epikur, że można, a nawet warto wyzbyć się wszelkiego cierpienia i żyć samą tylko przyjemnością, nawet tą duchową. Jeśli ktoś chce spróbować takiego życia, proszę bardzo, ale można wtedy łatwo minąć to, co najpiękniejsze na tej ziemi – miłość, ponieważ uciekając od cierpienia - i to za wszelką cenę - nigdy nie odważę się kogoś pokochać.